

Mimo wysiłków podejmowanych przez liberałów, na przykład przez Alexisa de Tocqueville'a czy Johna S. Milla, przez cały wiek dziewiętnasty myślenie liberalne i demokratyczne zasadniczo pozostawały sobie obce, w dużej mierze z uwagi na zarysowane powyżej różnice w rozumieniu warunków wolności (choć nie w rozumieniu „istoty” wolności jako mówienia i potwierdzania swoich wypowiedzi działaniem) oraz zasięgu sfery publicznej (choć nie w przekonaniu, że decyzje tam podejmowane wymuszają posłuszeństwo i tym samym ograniczają wolność indywidualną). Istniała jednak ważna podstawa podobieństwa. Przyjmując Hobbesowskie ograniczenie słuchania do posłuszeństwa, zarówno liberałowie, jak i zwolennicy nurtów demokratycznych przywiązywali ogromną wagę do jakości słowa wygłaszanego w sferze

publicznej i stającego się prawem. Skoro miało ono moc, by zamknąć usta mówiącym inaczej i kształtować ich działania, nie naruszając bynajmniej zakładanego prymatu wolności, powinno zostać wywiedzione nie z subiektywnej opinii rządzących, lecz raczej z prawdy obiektywnej. O możliwości dotarcia do niej przekonywał dynamiczny postęp naukowy, zainicjowany przez oświecenie. Wiedza naukowa szybko znajdowała praktyczne zastosowania, zmieniając materialne oblicze Europy i świata, można więc było oczekiwać, że spełni także pokładane w niej nadzieje polityczne. Jeśli obywatele mają być posłuszni czyjemuś słowu, niech będzie to słowo ekspertów, bo przez nich przemawia prawda – zgadzali się ze sobą liberałowie i demokraci.

Wykorzystywanie nauki w celach politycznych – wymuszania posłuszeństwa jej głosowi – wydawać się mogło doskonałym pomysłem, a również dziś jest nim w przekonaniu wielu. Ta właśnie prawda zainicjowała niespotykaną wcześniej przemianę świata przyrody i świata społecznego, którą nie bez przyczyny nazywamy *r e w o l u c j ą* przemysłową. Czemuż nie miałyby się ona zatem sprawdzić w świecie relacji politycznych i doprowadzić do wyzwolenia obywateli, a zarazem udomowienia Lewiatana egzekwującego swoją władzę nad nami? Pozostawało jedynie rozstrzygnąć, czy preferujemy państwo wypowiadające się wyłącznie w kwestiach, co do których nie chcemy lub nie potrafimy się wypowiedzieć sami, nie naruszając zarazem uprawnień „innego”, czy też przeciwnie – preferujemy państwo proponujące ściśle określony – ale z racji domniemanej prawdziwości najlepszy – przekaz, który obywatele przejmą jako swój głos i wesprą w działaniu. W pierwszej połowie dwudziestego wieku w sposób skrajny przetestowano w Europie drugą z tych możliwości w jej dwóch odmianach: niemieckiego nazizmu i radzieckiego komunizmu. Okazały się one równie wyniszczające i obie prowadziły do powstania ustroju totalitarnego, który przeczy wolności, a właściwie nakazuje słuchać wolności ściśle zdefiniowanej przez tych, którzy – przynajmniej we własnym przekonaniu – służą prawdzie.

Druga połowa ubiegłego wieku, a zwłaszcza jego ostatnie lata, wydawały się jednoznacznie promować pierwszą możliwość, a praktycznym sposobem wprowadzania jej w życie był model tak zwanej demokracji liberalnej, której „demokratyczność” upatrywano we wprowadzeniu powszechnego prawa wyborczego oraz w przyzwoleniu na możliwe negocjacje w sprawie zakresu zagadnień wymagających publicznego uregulowania kosztem wolności jednostki. Miały to być zresztą negocjacje o charakterze nie tyle politycznym, ile naukowym, cechować miał je bowiem wymóg uzasadniania propozycji w oparciu o rzetelną wiedzę o społeczeństwie (głównie ekonomiczną i socjologiczną). Demokracja liberalna – bez względu na swoje możliwe odcienie – stanowiła zwiędnięty liberalizm.